

1.

Niewiele – początek wspomnień

Salma spóźniała się tylko kilka razy w roku. Usilnie ignorowała swoje urodziny, niczym dorosły, który nie chce dorastać. Specjalnie zapominała o wizytach u stomatologa, wmawiając sobie, że po jodze i powtarzaniu mantr pełnych obfitości, ból zęba sam minie. W końcu: nie miała wyczucia czasu, jeśli chodziło o wyjątkowe okazje – bo zawsze musiało jej coś wyskoczyć.

Tak też było tym razem. Od pół godziny czekałam, aż moja dziewczyna przyjedzie, by zakupić kamper, który aż tak się jej podobał, że samodzielnie go wybrała. Chociaż „zakupić” to złe słowo – ona już go prawie miała. Zostały tylko formalności, a te powinna podpisać ze mną. Po wielkiej kłótni sprzed dwóch dni nie było już prawie śladów – nadal czułam lekką złość, zgromadzoną w sercu. Salma wydała swoje oszczędności, by, jak stwierdziła, mieć coś z życia. Mnie, ambitnej ladyboss, która trzymała firmę i zaciskała grosza na wspólny rozwój, zupełnie to nie pasowało.

Prychnęłam na samo wspomnienie ostrej wymiany zdań i przestąpiłam z nogi na nogę. Przecież z życia miałyśmy wiele. Byłoby lepiej, jasne, ale po wielu latach problemów nie można od razu spodziewać się manny z nieba i miodu z mlekiem z kranu w nowym mieszkaniu. Poszczęściło nam się jednak ostatnio. Moja zakręcona miłość z włosiem czarnym jak pióro kruka postanowiła to wykorzystać.

– Jestem! – krzyknęła mi prosto do ucha, zjawiając się znikąd. – Wiem, wiem. Nic nie mów. Znów coś mi wyskoczyło.

– Umhm – mruknęłam, ale rozpromieniłam się na widok jej uśmiechu. Miałam diabła w domu i chyba musiałam się z tym pogodzić. – Daj mi buzi i nie gadaj tyle.

Dyskretnego całusa w usta nikt postronny nie zauważył. Mała czułość, wymieniona naprędce, od razu gasiła moje nerwy. Tym razem po wkurwie nie było śladu, została sama miłość. I niepewność, czy aby na pewno tym kamperem przejedziemy całą Polskę i nie rozkraczymy się w polu.

Bo wiesz, z Salmą bywa różnie. Już samo jej imię jest dziwaczne, ale idealnie do niej pasuje. Pozwala na siebie mówić też Salamandra, głównie znajomym. Salma lubi słońce i ciepło. Z problemów wyślizguje się szybko, niezauważalnie, nim dym przysłoni drogę ucieczki. Ja zajmuję się finansami, mam firmę, ratuję nam budżet; ona dorabia i maluje, maluje, maluje. Jej malunkami wytapetowałam sobie serce.

Brzmię jak romantyk, ale co zrobić – jestem permanentnie zakochana. Cztery lata razem, a mam wrażenie, że mijają dekady. Pomimo upływu czasu, nadal nie do końca wiem, co jej pod czachą dymi. Pomysły Salamandry przypominają wybitnie długi rollercoaster. Najpierw dłuższa niepewność, potem spadanie w dół. No i mnóstwo młynków, zawirowań, lęku zmieszanego z adrenaliną. Gdybym jej nie kochała, pewnie dawno bym odrzuciła zaproszenie do wspólnej wiecznej jazdy. Tymczasem – siedziałam w pierwszym wagoniku, gotowa na każdą przejażdżkę, nawet próbną.

A skoro o tym mowa...

Weszłyśmy do ogromnego garażu. Przyjrzałam się człowiekowi, który prowadził ten biznes. Facet lat pięćdziesiąt na karku, i to z hakiem; z brzuszkiem, wąsami a’la pan z epoki PRLu i w źle dobranym garniturze. Mówił coś szybko do telefonu, nie zawsze wyraźnie. Od łysej czaszki odbijało się sztuczne światło lamp. Nie zwrócił na nas uwagi, zajęty dyskusją. Dopiero musiałam odchrząknąć, by zauważył, że jesteśmy już obie.

– Panie są, a już myślałam... a myślałam, bo to ludzie teraz różnie kupują...

– Przecież zaliczkę wpłaciliśmy – uprzejmie dodałam, przypominając o sporej sumie, przelanej w tamtym tygodniu. Tego też się obawiałam – wysyłanie pieniędzy nie zawsze kończyło się dobrze. Ufałam jednak Salmie. I trzymałam kciuki, żebym się na tym nie przejechała.

I – śmiech na sali. Już widziałam oczami wyobraźni, jak mężczyzna próbuje dobić targu na kamper z kimś zupełnie innym, mając nasze pieniądze w kieszeni. Może nie powinnam tak myśleć, ale byłam cholernie ostrożna – zwłaszcza jeśli w grę wchodziły tysiące. Moja własna firma mnie tego nauczyła.

– No tak, tak... – Mężczyzna ochoczo pokiwał głową, ale wydawał się być zawiedziony. Z lękiem spojrzałam na wielki pojazd, uśmiechający się do mnie. A przynajmniej taki miał układ świateł i belki – dziko wesoły. Westchnęłam i zapytałam, czy możemy wejść do środka.

Mechanik miał zrobić wszystko, by samochód nas nie zawiódł podczas trzytygodniowych wakacji w drodze. Nie znałam gościa, więc nie mogłam być pewna jego pracy – ufałam, że faktycznie nie będziemy mieć żadnego wypadku. Powoli weszłam do kampera, biorąc głęboki wdech – nie pachniał starością, bardziej olejem i warsztatem samochodowym. Interesujące wnętrze utwierdzało mnie natomiast w tym, że cała zaplanowana podróż będzie przyjemna.

Pojazd był piękny, nowoczesny, wygodny. Poprzednia właścicielka, która sprzedała go w praktycznie tym samym stanie mechanikowi, nie mogła już dłużej się nim zajmować. Pozostała podróżniczką, która na stare lata postanowiła się osiedlić i zwiedzać wspomnienia. Jeździła nim ponad dziesięć lat, stąd miałam obawę, że momentami mogłabym mieć z nim problem. Czy to z

zapalaniem, czy z wymianą poszczególnych elementów. Słono dopłacałam za ten remont i przegląd techniczny – oby nic mnie nie zaskoczyło.

Rozejrzałam się, Salma zapiszczała. W dziewczęcy sposób pokazywała swoją radość, a ja jej na to pozwalałam. Lubiłam, gdy się cieszyła, dzieliła emocjami. Ja wolałam trzymać swoje na dystans, na wszelki wypadek.

By się nie przejechać.

By nic nie stracić.

Salma w gruncie rzeczy cieszyła się za nas dwie. Złota dziewczyna. Patrzyłam, jak muska blat kuchni palcami i kręci się dookoła. Zrobiłam to samo. Obróciłam się wokół własnej osi, podziwiając przytulne wnętrza. Naprzeciwko mnie była duża, rozkładana i wygodna sofa. Na niej leżało mnóstwo kolorowych, częściowo wyszywanych poduszczek. Zaraz obok niej – kuchnia, tuż przy wejściu. Białe, stojące meble lśniły wesoło. Uwagę głównie przykuwała drobna kuchenka, wciśnięta na samym końcu. Jej powierzchnia do złudzenia przypominała delikatny marmurek. Była czysta, bez smug i zadbane. Nie mogłam się doczekać, aż Salma zaserwuje nam jedzenie w drodze. Potrafiła gotować w każdych warunkach i z minimalnymi zasobami. Szczerze w niej to kochałam – to, i nie tylko to. Kochałam ją całą.

Dalej: łazienka. Zazrzałam tam osobiście, bo nie cierpiałam brudnych ubikacji czy pryszniców z grzybem. Tego się również obawiałam podczas drogi. Że rozbijemy się na środku biwaku i będziemy zmuszone do skorzystania z publicznego WC. Obrzydlistwo. Na szczęście i tutaj poprzednia właścicielka się wykazała. Było widać, że kamper stanowił nie tylko jej własność, ale po prostu dom.

– Ida, patrz! – zawołała Salma, odrywając moją uwagę od przyzwoitego kibla. Spojrzałam w jej stronę, a ona wskazała na rozsuwaną ściankę. Za nią znajdowało się łóżko. Widać, że wygodne. Usiadłam na nim wraz z nią i westchnęłam. Dobry materac!

– Spokojnie zmieścimy się z Pędzelkiem – powiedziałam, ciesząc się z wygody. – Cholera, nawet nasze łóżko nie jest tak wygodne!

Salma roześmiała się i potwierdziła.

– Ale to nieważne – dodała, patrząc na mnie. Uśmiech nie schodził jej z ust od kilku dni. To był wspaniały widok, biorąc pod uwagę ostatnie wspólne lata. – W końcu najbliższe trzy tygodnie spędzimy tutaj!

Potaknęłam. Zaległam raz jeszcze, gapiąc się w sufit. Nad nami było chyba drugie miejsce do spania, nieco węższe. Przekręciłam głowę – małe okienko pozwalało patrzeć na świat na zewnątrz. W tym przypadku na mechanika, który pisał coś na komputerze. Przymknęłam oczy.

Życie dało nam w kość przez kilka lat w związku. Było niczym pościg, który się nie kończył. Co jakiś czas uciekałyśmy przed problemami, ale te w końcu nas znajdowały. Stawiałyśmy im czoła i tak znów, znów. Salma często starała się o nich nie pamiętać – nie wspominała o potknięciach, patrzyła ufnie w przyszłość. Ignorowała kłopoty w tym samym momencie, w którym przestały stwarzać dyskomfort. Jakby nigdy nas nie dotyczyły.

Co innego ja. Chmura gradowa, która przysłańiała słońce. Wyrываłam jej z głowy szalone pomysły. Wgniałałam powinności. Czasami byłam przez to cholernie na siebie wściekła, że zabierałam jej poczucie radości, kiedy wpadała na szalony pomysł. Bałam się naszych problemów z przeszłości i nie umiałam iść do przodu. Tylko w ten sposób, według mnie, mogłyśmy mieć mieszkanie, stabilny dochód, lekkie życie. Wszystko po to, by czuć się bezpiecznie.

Dlatego się zgodziłam – byłyśmy w tym momencie życia, w którym mogłam nam na to pozwolić. Salma wydała swoje pieniądze na pojazd, na – tak naprawdę – trzytygodniową podróż. O dziwo, samodzielnie ją zaplanowała, od początku do końca, więc pozostawało mi westchnąć przeciągle. I dobić targu.

Wyszliśmy z kampera chwilę później, kiedy usłyszałam chrząknięcia mechanika. Najwyraźniej mu się spieszyło. To dobrze, bo nam również. W całym tym rozgardiaszu dopiero co poinformowałam pracowników, że biorę sobie urlop. Musiałam ich jeszcze pokierować w pracy, a z moją ukochaną dopiąć planu wycieczki.

– Sumę zaległą wypisałem tu. – Mechanik podał nam kartkę z liczbą i pochylił głowę. Znów chrząknął.

– O co chodzi? – dopytałam i zmarszczyłam brwi.

– Kamper jest w dobrym stanie. Nawet bardzo, miałem wielu kupców, ale pani pięła się po nich jak po trupach – wskazał na Salmę. – Jedyne martwi mnie, czy panie sobie z tym poradzą. Trzeba mieć, no wiedzą panie, ekhem. Męski dryg.

Uniosłam brew.

Typowe gadanie. Będąc w związku z kobietą w Polsce, co chwila trafiałyśmy na mniej lub bardziej problematyczne jednostki. Mężczyzna był niezbyt niebezpieczny, ale widocznie znalazł lepszą ofertę – i chciał nas odwieźć od zakupu za wszelką cenę. Bo cena była tu istotna. Salma podczas kłótni wspomniała, że co chwila podbijał stawkę, ale skutecznie go spacyfikowała informacją, że bierze samochód od ręki.

– Pan się nie martwi. – Moje rozmyślenia przerwała Salma. Jej głos nie brzmiał już słodko. Kiedy chciała, umiała postawić na swoim. – Chcemy zapłacić i jak najszybciej jechać.

Pokiwałam głową. Miałyśmy przy sobie gotówkę, bo takiej zapłaty zażyczył sobie mężczyzna. Rozliczyłam się z nim szybko, co chwila zerkając na moją kobietę. Nie liczyłam na rachunek, głos mi podpowiadał, że nawet go nie wystawi. Ale wystarczyło spojrzeć na Salmę. Uśmiech znów wrócił na jej twarz, a ona gładziła dłonią pojazd. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Nie mogłam jej tego odebrać wątpliwościami.

A ja? Cóż. Przede wszystkim byłam wdzięczna, że jest w niezłym stanie. Jest też przytulny i czysty, pomyślałam. Nie mogłam się jednak pozbyć guli stresu, bólu żołądka i chmary spraw na głowie, które bezwzględnie musiałam rozwiązać, nim ruszymy z Krakowa w nieznane.

2.

Coś jak kamper

Praca w firmie przypominała istny kocioł. Choć to może za duże słowo. Moja niewielka marketingowa działalność mieściła się w wynajmowanym lokalu na obrzeżach Starego Miasta, wciśnięta między duże przedsiębiorstwa. Laura i Zuza, dziewczyny, które wraz ze mną pracowały na sukces agencji, uśmiechnęły się do mnie ze współczuciem. Obydwie umiały czytać ze mnie jak z otwartej księgi.

– Poradzimy sobie – zapewniła Laura. To ona, tak naprawdę, była najbardziej doświadczona w zdobywaniu klientów i w działaniach marketingowych. Złota pracownica.

– Poza tym, w drodze w razie co skorzystasz z komputera. Komunikacja w tych czasach to bułka z masłem, dopóki nie wjedziesz w szczerze pole – dodała Zuza, młoda dziewczyna, która nie tylko pałała energią, ale i rzucała na prawo i lewo kreatywnymi pomysłami. Odetchnęłam głęboko, chcąc całkowicie skupić się na zaplanowanej rozmowie. Obydwie powinny wiedzieć, jak prowadzić działalność bez mojego stacjonarnego nadzoru.

Rozmawiałyśmy. Kreśliłam im sytuacje klientów, a one zaskakiwały mnie swoją wiedzą na ich temat. Każda z dziewczyn była... Jak to się mówi? Hop do przodu? Tak. I to w totalnie pozytywnym wydaniu. Po dwóch godzinach rozmów i burzy mózgów, mniej więcej wiedziałam, na czym stoję.

– Ida, naprawdę wszystko będzie dobrze – podkreśliła Laura, kładąc mi dłoń na ramieniu, próbując mnie pocieszyć na swój sposób. Ta piękna dziewczyna o niebieskich oczach, podobnie jak ja, była lesbijką. Ceniła przestrzeń, w której mogła się wykazać – bez zbędnych ograniczeń, stygmatyzacji, kpiących spojrzeń. Wiele razy stanęła na wysokości zadania, zdobywając klienta, który już prawie z nas rezygnował. Miała dar opowiadania powieści i celnie wykorzystywała go w marketingu. Kiedy opowiadała mi o swoich strasznych przebojach w typowym polskim korpo, miałam ochotę ją tulić.

Zuza zaś była młoda. Niewiele o niej wiedziałam, nie chciała opowiadać o sobie. Pomimo tego w sprawach firmy ufałam jej całkowicie – wiele razy udowodniła swoją lojalność. Więc skoro obydwie moje pracownice przekonały mnie skutecznie do wyjazdu, dlaczego nadal czułam się tak mocno zdenerwowana!?

Usiadłam przy swoim biurku, odgradzonym od ich stanowisk pracy za pomocą składanej ścianki działowej. Bębniłam o blat, próbując się z nim pożegnać. To nie tak, że jestem

pracoholiczką, uzależnioną od firmowych sukcesów. Po prostu w ten sposób odpoczywam od problemów w życiu. Spełniam się, może nawet trochę relaksuję. W pracy nic nie może mnie powstrzymać. Kiedy próbowałam pracy w innych agencjach marketingowych, trafiałam na zadania, które z łatwością mnie pokonywały. Nie umiałam stawić im czoła, nie umiałam też odnaleźć się w niezbyt przyjaznym otoczeniu. We własnej firmie nie ma miejsca na uprzedzenia – ale poza jej siedzibą jest ich pełno.

Pokręciłam głową. Nie chciałam o tym myśleć. Nie było czasu na dumanie o niepewnościach – w końcu wieczorem miałyśmy dopiąć plan działania na kolejne tygodnie.

Ruszamy już za dwa dni. Tylko dwa dni!

*

– Salma?

Zapukałam do kampera, który stał na naszym drugim miejscu parkingowym. Ukochana ewidentnie była w środku. Zawsze słuchała muzyki na głośniku, rzadko przez słuchawki – tylko wtedy, kiedy nie mogła inaczej.

Po pracy przyjechałam jak najszybciej, powoli ulegając ekscytacji. Z głowy wyszła mi już kłótnia, ale zamieszkała w niej niepewność. W czasie gwałtownej wymiany zdań nie padły żadne odpowiedzi na pytania z cyklu: ale czemu ty to robisz, kochanie?

W związku z Salmą ceniłam sobie przecież szczerłość. Moja ostatnia eks totalnie mnie w tym zawiodła. Lubiała oszukiwać, chyba się w tym szkoliła na jakichś tajnych obozach dla szpiegów – tak świetna była w serwowaniu kłamstw. Salma od początku z bezpośredniością dziecka bombardowała mnie najróżniejszymi pytaniami. Wtedy byłam nimi zmieszana – teraz wiedziałam, że to tylko dobry znak.

Salma długo ukrywała fakt wydania częściowych oszczędności, które miała po zmarłej babce z zachowku. Prosiłam ją wielokrotnie, by je trzymała na koncie i pod żadnym pozorem nie ruszała. Ona jednak totalnie to zignorowała, zaklepując kampera. Przez pierwsze minuty, chwilę po tej rewelacji, siedziała na krześle w kuchni i zaciskała usta. Nic nie mówiła, a ja – z minuty na minutę – dostawałam jeszcze większej złości. Co jest? Co się z nią dzieje? W końcu wybuchłam, przerywając ciszę.

– Czy ty zawsze musisz być taka nieodpowiedzialna?!

Dziewczyna prychnęła i nie zamierzała już więcej milczeć.

– A czy ty zawsze musisz niszczyć frajdę?! – ryknęła, aż złapała się za brzuch. Z niepokojem patrzyłam na jej ostatnie dolegliwości, jednak złość przysłaniała mi tego dnia zdrowy rozsądek.

– Ja nie niszczę nam frajdy – warknęłam. – Staram się przeżyć w tym popieprzonym kraju i nie musiec prosić nikogo o jedzenie. Naprawdę nie pamiętasz, co było kiedyś?

– Kiedyś? Owszem, pamiętam. Ale kiedyś bardziej martwiłaś się o nas, a nie o firmę!

Zamrugałam. Czuałam się tak, jakby Salma znów mnie nie doceniała. Owszem, w pracy spędzałam wiele czasu. Traciłam popołudniowy odpoczynek z ukochaną na rzecz doszlifowania projektów. Dawałam z siebie wszystko. Ale nie robiłam tego tylko i wyłącznie dla własnej satysfakcji, ale dla własnego bezpieczeństwa.

Naszego bezpieczeństwa.

Czy kamper taki był? Czy był bezpieczny? Jaki był z niego pożytek? Czy ta podróż to dobry pomysł? Znów wróciłam do rzeczywistości i uniosłam dłoń, by otworzyć drzwi pojazdu. Salma faktycznie siedziała w środku. Układała nasze rzeczy we wnęce, która robiła za dość pojemną szafę. Śpiewała i tańczyła przy tym wesoło, dając się ponieść muzyce.

– Salamandra?

– Tak, Id? – zapytała, uśmiechając się do mnie promiennie. Jakkolwiek byśmy się nie pokłócili, jej miłość była mi w stanie wszystko wybaczyć. I vice versa.

– Jak idzie?

– A, dobrze, jak widać. Wróciłam z pracy. Szef mnie nie zwolnił, także tyle dobrego. Udało mi się odebrać zaległy urlop.

Zamrugałam powiekami. Zaległy urlop? Ciekawe. Wiedziałam, że Salma miała dwa tygodnie wolności, to na pewno, ale żeby aż trzy? Spojrzałam na nią, na co machnęła ręką. Wiedziała, o czym myślę.

– Mówiłam ci, że Truskowiecki jest dobrym człowiekiem, to nie wierzyłaś! – odrzuciła, wspominając swojego niezbyt grzecznego szefa. Spotkałam go raz i... nie chciałam nigdy więcej. – Udało mi się, więc spokojna głowa. Jak tylko wrócimy do Krakowa, to od razu pójdę do biura. Przyniosę kwiaty jego żonie!

Pokiwałam powoli głową i podeszłam bliżej, aby jej pomóc. Zręcznie przekładałyśmy ostatnie pary butów i podkoszulki. Pakowałyśmy chyba zbyt wiele rzeczy, ale kamper nie szczędził miejsca – szczerze mówiąc, moglibyśmy w nim zabrać cały dom.

Pracowałyśmy w milczeniu. W pewnym momencie Salma padła na sofę i jęknęła. Patrzyłam na nią z niepokojem.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, Idka! – odpowiedziała głośno, sapiąc. – Po prostu robię tutaj od dwóch godzin i się stresuję.

– Ty? – zapytałam z powątpiewaniem, na co Salamandra pokazała mi język.

– Nawet ja. Boję się, że mechanik nas wykiwał i samochód stanie nam w polu.

– Ty takich rzeczy nie mów! – Pogroziłam jej teatralnie palcem, ale zagryzłam wargi.

Oczywiście, że coś takiego mogło się stać. Przecież sama już o tym myślałam.

Ostatniej nocy sporo czytałam o kamperach i sztuce przetrwania w nich. Chociaż pozytywnie nastawiałam się na tę podróż, czułam niepokój. Czułam, że to będzie coś wielkiego. Nie tylko pierwszy raz pojedziemy na tak długie wakacje, i to z Pędzelkiem, ale również będziemy zmuszone radzić sobie samemu. Tak, postrzegałam naszą podróż jako pewnego rodzaju survival. Jeśli coś się nie uda, to naprawdę ciężko nam będzie się wykaraskać. Spojrzałam na Salmę. Odchyliła głowę i oddychała głęboko. Jej piersi unosiły się rytmicznie, a ja miałam ochotę ją po prostu przytulić. Chociaż po kłótni nie było teoretycznie śladu, nie od razu wpadałyśmy sobie w ramiona. Trzymałyśmy dystans. Nie znosiłam tego.

Dlatego podeszłam do mojej dziewczyny i wyciągnęłam dłoń. Obrysowałam palcami jej policzek, czoło, potem znów policzek i usta. Uchyliła powieki, jakby chciała śledzić każdy mój ruch, ale utkwiała wzrok w twarzy. Kochałam jej kocie spojrzenie. Ni to zielone, ni brązowe oczy, miały w sobie wiele złotych refleksów i małych błyskawic. Płonęły radością, ale teraz dostrzegłam również zmęczenie.

– Nie męcz się, bo to nie będą wakacje, a przymusowa podróż – szepnęłam i nachyliłam się nad nią. Ucałowałam jej wargi, na co odpowiedziała jęknięciem. Uchyliła usta, bym mogła pocałować ją mocniej, głębiej, namiętniej. Lubiłam te momenty zbliżeń. Lubiłam takie godzenie się.

Moje dłonie automatycznie wsunęły się pod jej koszulkę. Ubrała się inaczej niż zwykle, miała na sobie strój roboczy – dresy mocno opinające jej sylwetkę, a także dużą, poszarpaną na rękawach koszulkę z napisem: *Tęcza jest wszystkim*. Zrobiłyśmy ją z okazji zeszłorocznego miesiąca dumy, czyli czerwca. Wtedy też pierwszy raz byliśmy na paradzie. Wspomnienia tych kilku dni zlewały się teraz w jeden – dzisiaj. Nic więcej się nie liczyło, jedynie Salma, nasza podróż i... Pędzelek, którego szczekanie było słychać na całym parkingu przed blokiem.

Stęknęłam, kiedy Salma oderwała się ode mnie i z niepokojem zerknęła przez okno kampera, wychodzące na budynek, w którym mieszkaliśmy.

– Mały ma nerwy – powiedziała cicho. Odsunęłam się niechętnie, pozwalając jej poprawić koszulkę.

– Wiem. Ale weterynarz powiedział, że wszystko jest w porządku.

Moja ukochana zmarszczyła brwi. Nie dowierzała. Nic dziwnego. Pędzelek miał tylko niecałe cztery lata i dwie przebyte operacje na koncie. Nasz ukochany pies cierpiał – a my razem z nim. Może się to wydać dziwne. W końcu to... „tylko pies”. Jednak ten zwierzak, a nie jakiś człowiek, jako pierwszy nas zaakceptował. Każdego dnia dawał nam siłę. A mówią, że domowe pupile nie mają duszy. Co za ślepi ludzie...

– Chodźmy – postanowiłam, a Salma kiwnęła głową i wstała. Szybko przetransportowałyśmy się do domu.